Nr. 27. We Lwowie dnia 5. lipca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ibsen w ostatnim okresie swej twórczości.

I.

Pod względem pojęć etycznych — powiada Hubert Roetteken, którego obszerne, a piękne studjum, umieszczone w dodatku monachijskiej »Allg. Ztg.«, poniżej streszczamy — pod względem pojęć etycznych jest Henryk Ibsen opozycjonistą od stóp do głowy, wielką też wagę posiada dla niego samego etyczna tendencja jego dramatów; co więcej, jest ona może najgłówniejszym czynnikiem, popychającym go do wyboru tematu. Wynika to przedewszystkiem z wewnętrznego związku, istniejącego pod tym względem w przedmiotach jego utworów. Jeżeli np. »Wróg ludu« zawiera apoteozę bezwzględnej, niezachwianej prawdomówności, następny zaś dramat »Dzika kaczka« zajmuje się pytaniem, czy prawdomówność w pewnych warunkach nie jest szkodliwą, czy przypadkiem kłamstwo nie ma także racji bytu, to widać z tego, że w duszy poety powstał nasamprzód nagi problemat etyczny, który dopiero następnie ubrany został w przedmiot.

Społeczeństwo nowożytne osądza Ibsen bardzo surowo, a »podporami społeczeństwa« nazywa on, w dramacie tego samego nazwiska, z gryzącą ironją kilku ludzi, którzy pod pokrywką pięknych frazesów o poświęceniu się dla dobra ogółu i o pobożności własnym służą celom, dochodząc w samolubnej tej pogoni aż do bezsumienności. Zachowanie pozoru — oto wszystko, ażeby to módz czynić, uciekają się osoby jego dramatów do najbezwstydniejszego kłamstwa i obłudy. Robić można wszystko, byle tylko nie wykraczać przeciw konwencjonalnym wyobrażeniom i przesądom otoczenia, a największem nieszczęściem jest skandal; aby go uniknąć, Hedda Gabler, nieodrodne dziecko tego społeczeństwa, odbiera sobie życie wystrzałem z pistoletu. Powszechny brak uczciwości, powszechny egoizm znalazł wyraz może najdobitniejszy w »Wrogu ludu«. Bohater tego dramatu, lekarz w miejscu kąpielowem, przekonawszy się, że zarówno woda łaziebna, jak i woda do picia została przez odpływy, pochodzące z wielkiej garbarni, zakażona, pragnie zaradzić złemu; z początku zdaje się, że potrzebną znajdzie pomoc. Atoli ludziom, którzy mu pomoc tę przyrzekli, nie idzie wcale o rzecz samą: przełożonym spółki akcyjnej, utrzymującej kąpiele, jest burmistrz, nadarza się więc sposobność wystąpienia przeciwko niemu. Ale burmistrz nie myśli również o przełożeniu wodociągów, wykrycie tego niedostatku mogłoby go narazić na wstyd, stara się więc nakłonić lekarza, aby oświadczył, że się pomylił, pierwotnym zaś zwolennikom jego tłómaczy, że jeżeli sprawa stanie się jawną, trzeba będzie na dwa lata zamknąć łazienki, przez co obywatele miasta wielkie poniosą szkody. Wzgląd na interes łączy burmistrza z obywatelami, a gdy lekarz od zamiaru swego odstąpić nie chce, lecz owszem, nie znalazłszy przystępu do redakcji krajowych, grozi, że istotny stan rzeczy ogłosi w pismach zagranicznych, nadają mu wszyscy miano wroga ludu, pragnącego zniszczyć miasto.

»Wróg ludu« to odpowiedź poety na zarzuty, poczynione mu z powodu jego »Upiorów«, a los lekarza kąpielowego, ma być tylko przykładem losu wszystkich tych ludzi, którzy nie wahają się odsłaniać wrzodów społecznego życia w zamiarze ich wyleczenia; zamiast podzięki, społeczeństwo nakazuje im milczenie, nazywa ich swymi wrogami i tłucze im szyby.

Ibsen wskazuje niejednokrotnie, w jakich więzach trzyma społeczeństwo jednostkę: od panujących wyobrażeń i pojęć nie wolno bezkarnie odstąpić ani na krok.

Nawet ludzie najznamienitsi, największego zażywający miru, »podpory« tego społeczeństwa, straciliby odrazu wszelkie znaczenie, gdyby choć na chwilę wyprzedzić zechcieli usposobienie, będące właśnie na porządku dziennym. A w mgławe koło swoje wciąga społeczeństwo jednostkę jeszcze bardziej przez wychowanie.

Tresura dzieci odbywa się od samego początku w kierunku zachowywania pozorów, a drastycznym przykładem skutków takiej edukacji jest Hedda Gabler. Wszelkiego rodzaju konwencjonalne wyobrażenia wpajane bywają dzieciom jako dogmaty, których później nawet samodzielnym umysłom trudno się pozbyć.

Jako etyk jest Ibsen indywidualistą; posiada on pewny, ściśle określony ideał jednostki, a wobec społeczeństwa występuje z pytaniem, o ile jednostka może w niem urzeczywistnić swój ideał. Indywidualizm ten charakteryzuje znakomicie jeden ustęp w »Norze«. Gdy bohaterka dramatu chce opuszczać męża, przypomina jej tenże najświętszy jej obowiązek, mianowicie obowiązek wobec męża i dzieci; atoli Nora odpowiada, że ma niemniej święte obowiązki względem siebie; a gdy jej na to odrzeczono, iż przedewszystkiem jest żoną i matką rzuca ona następujące słowa: Zdaje mi się, że przedewszystkiem jestem istotą ludzką. I ażeby zadość uczynić obowiązkom względem siebie samej, opuszcza męża i dzieci, a Ibsen widocznie z nią sympatyzuje.

Najwyższem wymaganiem tej etyki indywidualistycznej wydaje się w »Norze« samodzielność. Jednostka powinna występować przeciwko wszelkim pojęciom konwencjonalnym, nie powinna dla niej żadna istnieć powaga.. Przy końcu dramatu traci Nora wiarę we wszystkie prawdy, które dotychczas powtarzała za innymi, a do prawd tych należy i religja.

Drugiem niemniej ważnem żądaniem Ibsena jest prawdomówność. Kłamstwem przynosi człowiek uszczerbek swojemu wnętrzu. Bohater »Podpór społeczeństwa« ugruntował cały swój byt na kłamstwie. Nikt go wprawdzie nie pociągnie do odpowiedzialności, a wobec garstki, wiedzącej o jego kłamstwach może się czuć zupełnie bezpiecznym; »ale« — pyta go dama, zastępująca w dramacie zasady Ibsena: »spójrz tylko w swe wnętrze i powiedz mi, czyś przy tem nie poniósł jakiej szkody«. Takie kłamstwo, które dla podtrzymania siebie musi wciąż nowe wymyślać kłamstwa, podkopuje i zatruwa cały charakter; trzeba je więc wyplenić z korzeniem, choćby nawet kosztem nieprzyjemności. »Wroga ludu« spowodują rozmaite motywy do ogłoszenia jego odkrycia: z pewnością wzgląd na chorych, ale również obawa i odraza kłamstwa, w któreby popadł, gdyby milczał o tem, co mu jest wiadomem; a odraza ta jest tak wielką, że pragnie współobywateli swoich uchronić od kłamstwa, choćby to nawet groziło im zniszczeniem. Jeszcze dobitniej, a jednostronniej ujawnia się tendencja uwolnienia ludzi od zmazy i demoralizującego wpływu

---

13)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Cały ten świat po nad mgłą słoneczną widywany, wydawał się jej istotnym, prawdziwym światem, gdzie życie bije żywszem tętnem, obrazy i postacie wyraźnie wykończone; ruchu głosu nie zauważyła, a pomimo to wiedziała, że całe otoczenie żyje, czuje i myśli.

A w końcu widziała zwykle siebie samą zdaleka, za mgłą złocistą, w bujającym fotelu, z rękami na poręczach, z szeroko otwartemi, nieruchomemi oczyma.

Twarz blada, usta drgające zlekka, krople potu na czole.

Przy fotelu zabawnie zafrasowane figury ciotki, dwóch rezydentek i starej niańki. Drepcą, kiwają głowami, łamią ręce, czasem przykładając do nosa mniejsze i większe flaszeczki; roztargnione, bezmyślne, niemrawe jakieś; pomimo przerażenia, prostują się, mówią i robią, jak przez sen...

W ostatnich czasach, do zafrasowanego fraucymeru przybył mąż, z rękami w kieszeniach spodni, z miną zdumionego turysty. Stawał po prawej stronie fotelu, przechodził na lewą, patrzył w twarz, dotykał chłodnej ręki, a gdy wszystkie naraz kobiety pochyliły się nad nią, ratując każda po swojemu, on odchodził, stawał w oknie, gryzł paznogcie, albo, wyjąwszy wykałaczkę z kieszonki od kamizelki, czyścił zęby.

Te mgliste zafrasowania, jakaś niedołężna rozpacz, śmieszyły ją i bawiły zarazem... Wiedziała, że w każdej chwili, gdy zechce, będzie zdrowa i silna... tylko, że jej się nie chciało... Śniłaby tak na jawie całemi dniami... Śmiała się zcicha z poczciwych kobiet.. Przyczem twarz zachowywała wyraz śmierci, a tylko lekki szmer jakby stłumionego śmiechu rozlegał się we mgle słonecznej...

Kobiety spoglądały na siebie przerażone. Mąż zbliżał się, poruszał wargami, mrugał, machał jedną, to drugą ręką, kiwał głową potakująco... Widocznie mówił coś z wielką precyzją z silnem przekonaniem, a tak był podobny do świeżo nakręconego manekina, w którym sprężyna działa z całą energją, że mimowoli śmiała się z niego, chociaż słów dosłyszeć nie mogła...

Słumiony śmiech rozlegał się wyraźniej we mgle słonecznej.

kłamstwa w jednej z osób w »Norze«. I Nora posiada wobec męża tajemnicę, która ją zmusza do ciągłego jej ukrywania, w tem zachodzi niebezpieczeństwo odsłonięcia tajemnicy, Nora chciałaby temu wszelkimi zapobiedz sposobami, atoli jej przyjaciółka, rozumna i szlachetna Krystyna Linde, któraby mogła temu zapobiedz, nie wstrzymuje biegu rzeczy: »Albowiem nieszczęsna ta tajemnica musi wyjść na jaw, musi pomiędzy obojgiem do otwartej przyjść rozprawy, nie może tak dalej pójść z temi wykrętami i ukrywaniami«. A zatem nietylko Nora miała obowiązek powiedzieć prawdę mężowi, obowiązek ten nakłada Ibsen nawet na zupełnie obcą osobę — obowiązek odsłonięcia kłamstwa i tem samem uchronienia' świata od szkody, jaką kłamstwo mu przynosi.

Bolesne musiał ten fanatyk prawdy przebywać chwile, gdy powstała w nim wątpliwość, czy prawda zawsze tylko zbawia, czy w pewnych warunkach i kłamstwo nie ma swego znaczenia. Tej wątpliwości zawdzięczamy »Dziką kaczkę«. Dramat ten wprowadza nam przed oczy szereg egzystencji złamanych. Stary Ekdal był spólnikiem hurtownika Werlego, który podminął go w jakimś nieuczciwym interesie Ekdal stracił przytem majątek i dobre imię, podczas gdy Werle umiał wyjść cało. Syn Ekdala poświęcił się zawodowi fotograficznemu i założył atelier z pomocą Werlego, ponadto ożenił go Werle z dziewczyną, z którą sam bliskie utrzymywał stosunki, a z sztuki nie wynika jasno, czy córka dobrej zresztą i dzielnej kobiety, czy 14 letnia Jadwiga jest córką Werlego, czy też fotografa. O dawniejszych stosunkach żony swej z Werlem fotograf nic zresztą nie wie.

Mamy jeszcze w dramacie zmarnowanego teologa, Mollwicha, który pije, i lekarza. Ten lekarz ma przekonanie, że takie w zarodku złamane egzystencje można tylko wówczas utrzymać, jeżeli się im stworzy jakie kłamstwo życiowe, jeżeli się im to kłamstwo zaszczepi. W pijanicę teologa wmawia on, że jest demoniczny, wyraz, z którym Mollwich łączy wyobrażenie, że za picie swoje nie odpowiada — a wyobrażenie to zbawia go od wzgardzenia samym sobą. Fotografowi zaś poddał, że na polu jego sztuki wielkie jakieś powinien zrobić odkrycie, które odrazu przeniesie go z nędzy w korzystne warunki bytu. Fotograf myśl tę akceptuje, a choć nie zastanawia się nawet nad drogami, po których mógłby dojść do swego odkrycia, ma nadzieję i czuje się szczęśliwy. A i stary Ekdal sam sobie stworzył fikcję: dawniej zapalony myśliwy, urządził sobie na poddaszu zwierzyniec: kilka wigilijnych choinek, a pomiędzy niemi kilka królików, gołębi, kur, a nawet dzika kaczka. Zastępuje mu to las, zadowolony przechadza się po tym zwierzyńcu i z starym pistoletem w ręku chodzi sobie na polowanie. Cały dom jest więc szczęśliwy. W tem zjawia się Grzegorz Werle, syn hurtownika, towarzysz fotografa z lat dziecięcych, który z przerażeniem spostrzegłszy, że całe życie tych ludzi oparte jest na kłamstwie, zdradza przed mężem tajemnicę żony, myśląc, że fotograf żonie swej przebaczy i potem już na podstawie prawdy żyć będzie szczęśliwie dalej. Atoli fotograf, komedjant i frazesowicz, udaje pokrzywdzonego i odpędza

---

Mąż podrzucał ramionami i — wychodził z pokoju.

Z tych napadów letargicznego omdlenia postanowiła wyleczyć się jak najprędzej! Pragnęła wzmocnić wolę, zdobyć się na siłę i energję, żeby w chwili, gdy ją chęć do snu na jawie ogarniać zacznie, mogła oprzeć się pokusie, żeby mogła zatrzymać w sobie tę część duszy, której jak gdyby ciasno było w wątłem ciele i dla tego wyrywa się od czasu do czasu w świat szerszy... w krainę jakąś lepszą... wyraźniejszą!

Czy doktór ją zrozumie? Czy i on zechce leczyć tylko bromem i żelazem? Czy wogóle jest na świecie człowiek, któryby stan jej mógł dokładnie zrozumieć? Ona sama, zdając sobie sprawę z doznawanych wrażeń, zaledwo jakąś część tych wrażeń określić i opowiedzieć może... A te obrazy, które słowami oddać usiłuje, wyglądają tak blado, niemrawo, jak ruchy i czynności zrozpaczonych kobiet, widziane przez mgłę złocistą, gdy ją w omdleniu cucić usiłują!

Powóz wjechał na dziedziniec; Pola podniosła głowę, wyprostowana, stłumiła oddech... szal zsunął się z ramion, odkrył wysmukłą figurę w jasno-popielatej sukni, ujętej srebrnym paskiem. Ładna bladawa twarz ożywiła się nagle, w ciemnych oczach błysnęła nadzieja i... przerażenie!...

Gdy powóz stanął przed gankiem, zbiegła, zsunęła się raczej jak wiotki cień po schodach, wyciągnęła ręce.

Na razie w półcieniu nie mogła poznać doktora, wrok jej padł na podłóżną perłę w krawacie, a jednocześnie spotkała siwe, badawcze oczy, zimne, pomimo uprzejmego uśmiechu!...

Nogi pod nią zadrżały. Słowa przemówić nie mogła, podczas gdy doktór całował kolejno obie jej ręce i podziwiał, że z małej niegdyś Poli wyrosła śliczna pani bratowa!

Objął ją wpół ramieniem i jak piórko wniósł na schody, wesoły, ożywiony, rozgrzany raptownie, podczas gdy ona oddechu złapać nie mogła pod wpływem nieokreślonego wrażenia.

W oświetlonej sieni raz jeszcze obrzucił ją wzrokiem od stóp do głowy; wątła, bledziutka, z wystraszonemi oczami cofnęła się o parę kroków, oczu z niego nie spuszczając.

Zaśmiał się; ostry, ochrypły głos przykrość mu sprawił.

— A pan mąż? — spytał nagle z powagą.

Serce waliło jak młotem, krew żywiej krążyć zaczęła po kilkogodzinnem siedzeniu.

nawet czternastoletnią Jadwigę, słodkie, lube dziewczę, które do niego serdecznie jest przywiązane. Jadwiga znieść tego nie może i odbiera sobie życie pistoletem starego Ekdala. Grzegorz spodziewa się, że wydarzenie to wpłynie na fotografa, atoli lekarz, znający jego duszę, powiada młodemu Werlemu, że za jakie 3 kwartały zmarła Jadwiga stanie się dla ojca niczem więcej, jak pięknym tematem do deklamacji. Grzegorz, zrozpaczony na widok, czego dokonała prawda, opuszcza scenę z aluzją, że odbierze sobie życie, bo jeśli życie nie znosi prawdy, to żyć nie warto. Dramat przygnębiające wywiera wrażenie, ludzie w nim nakreśleni w istocie prawdy znieść nie umieją — życie ich zależne jest od kłamstwa. Możnaby powiedzieć, że na tego rodzaju złamanych egzystencjach nikomu zależeć nie powinno, jest atoli w sztuce tej jedna przecież istota, która godną była żyć dalej, a która padła ofiarą przy pierwszym już kroku, zmierzającym do wytępienia kłamstwa — mianowicie mała Jadwiga.

Z TUŁACZEJ JAZDY.

II.

RODAK.

Wojciechowski z pewną niechęcią przyciągnął do siebie nogi, za co pasażer, sadowiąc się naprzeciwko, uznał za potrzebne mu podziękować. Pociąg wreszcie ruszył. Wojciechowski zmrużył powieki udając, że śpi dla uniknięcia rozmowy, do której przybysz zdawał się mieć ochotę. Z pod przymkniętych powiek obserwował go jednak dalej, znajdując zwłaszcza, że jest to doskonały typ Francuza. Pasażer, trochę szpakowaty, twarz miał dość czerstwą, wygoloną na brodzie, wąsy sute, oczy szare — bystre i ruchliwe. Całość robiła wojskowe wrażenie: wyglądał, jak żołnierz po cywilnemu. Natychmiast prawie po przybyciu wyciągnął z kieszeni kurty paczkę cygar i zaczął niemi częstować po kolei piechurów. Piechury bezzwłocznie rzucili niedopałki Caporal'a i grzecznie salutując zapalili wszyscy naraz cygara. Pasażer miał ochotę poczęstować i Wojciechowskiego, ale Wojciechowski w sam czas zmrużył powieki. Po chwili jednak dym stał się gęstym nie do zniesienia i Wojciechowski musiał na chwilę wysunąć się za okno dla nabrania oddechu. Pasażer natychmiast rozpoczął z nim rozmowę na temat wskazany przez okoliczności. Zachwalał mianowicie cygara szwajcarskie, po które co tydzień jeździ na tamtą stronę, Wojciechowski odpowiadał przeważnie monosylabami, co zresztą nie zrażało rozmownego pasażera. Nastąpiły dalej pytania skąd i dokąd jedzie »Monsieur«. Wojciechowski odpowiedział, że jedzie do Paryża, na zapytanie skąd zawahał się przez chwilę i odpowiedział, że z Austrji.

— Vous êtes Autrichien, monsieur? — Zagadnął pasażer. Wojciechowski spojrzał na piechurów, którzy w milczeniu przysłuchiwali się interesującej rozmowie.

— Non, monsieur.

Zdjął spiesznie palto, zatarł ręce, podał ramię bratowej.

— Kiedy wróci? — spytał, prowadząc ją do sali jadalnej.

Czuł, że drżała zlekka... Na takie wątłe organizmy oddziaływał, jak burza. Uspokoi ją wkrótce... Zanadto przyglądał się jej na razie!... Bardzo do matki podobna... Brzydsza tylko i nie taka... anielska!

Pola uspokoiła się stopniowo, po kwadransie rozmawiali wesoło, siedząc obok siebie na długiej ceratowej kanapie w jadalni

Doktór żartował ze swojej starości, przypominał, jak małą Polę huśtał na kolanach, uśpioną odnosił do łóżeczka, jak opowiadał bajki...

— O upiorach.... — szepnęła Pola, podniosła ramiona i przeciągnęła się, jak senna kotka.

Doktór trzymał jej rękę w swoich dłoniach, przyjemne ciepło ogarniało ją zwolna; przenikliwe oczy spoglądały łagodnie... Przysunęła się do niego bliziutko, z głową przechyloną na ramię, zapatrzona w jego twarz rozumną; uśmiechała się do niego, do wspomnień, do swoich lat dziecinnych...

I zdało jej się naraz, że się zbudziła z długiego snu przykrego; apatja, odrętwienie, niepokój, chaos w myślach, wszystko to, co ją dręczyło w ostatnich czasach, co jeszcze dziś gnębiło ją od samego rana — znikło gdzieś bez śladu.. błogi spokój zapanował.

Czuła łagodzący wpływ wzroku doktora, wsłuchiwała się w jego głos miły, głęboki Wydawał się jej coraz sympatyczniejszym... Dziwiła się w duszy, że się go zlękła na razie; trwożne przeczucie — to resztki tej choroby, z której on ją wyleczy...

— Taki... dobry! — szeptała w duszy, mrużąc oczy zlekka — matkę moją leczył... taki mądry... Ach, co ja mu powiem?...

Było jej tak dobrze, tak błogo na duszy, że nawet wspomnienia nerwowych przypadłości zatarły się w pamięci! Usposobieniem, duszą cofnęła się do lat dziecinnych i pragnęłaby zasnąć pod tym wrażeniem....

Kiedy doktór zaczął mówić o jej matce stłumionym głosem, przymknęła powieki, zdawało jej się, że widzi swoje łóżeczko z balaskami, białą pościółkę... siebie w czepeczku, pod niebieską kołderką... a przy łóżeczku widzi matkę, słyszy jej głos łagodny, pieszczony...

Pasażer umilkł na chwilę, nie przestając patrzeć na Wojciechowskiego. Wojciechowski znowu zamknął oczy, czując, że go zaczyna opanowywać złość.

— Pan pewnie Polak — zabrzmiały nagle polskie wyrazy, Wojciechowski drgnął: od dwóch dni nie słyszał ani słowa polskiego. Machinalnie prawie, z samej potrzeby wydobycia ze siebie polskiego dźwięku, odpowiedział.

— Tak jest.

Pasażer wyciągnął do niego rękę.

— Toż my rodacy, Panie! Po cóż my sobie język łamiemy francuzczyzną!

Oczy mu się świeciły, wąsy ruszały się i cały, zdawało się, jakby nagle nie odsuwając się, odsunął od Francuzów i skupił w tej oto nieoczekiwanej przyjemności polskiej gawędy. Wojciechowski tymczasem wcale nie doznawał tej przyjemności. Żałował nawet, że znienacka zagadnięty odpowiedział po polsku. Rodak spiesznie, jakby nie chcąc tracić czasu, rozpowiadał, co mu na myśl przychodziło. Mówił o Francuzach, dość nieprzychylnie, jakby znowu pragnąc do reszty usunąć podejrzenie, że on sam jest Francuzem. Następnie zaczął dawać rozmaite rady Wojciechowskiemu, co ma robić po przybyciu do Paryża.

— Pan pewnie na nauki tam jedzie? — spytał mimochodem. Wojciechowski odbąknął ni to, ni owo.

— A czy pan już zna kogo w Paryżu? — pytał dalej rodak.

Wojciechowskiemu nagle pytanie to się nie podobało. Zamiast ufności przeciwnie ta polska rozmowa zaczynała w nim budzić jakieś podejrzenia. Niedorzeczne uczucie pościgu znowu zaczynało go niepokoić. Skąd, co, jak — dlaczego nagle tak cudownie znalazł się ten »rodak« na granicy, dlaczego mu tak pilno było odrazu nawiązać rozmowę, dlaczego wziął go odrazu za Polaka? — myślał Wojciechowski. Nawet marsowata twarz rodaka zaczynała w nim budzić jakieś wątpliwości — wygląda, jak przebrany — myślał. Jednocześnie jakaś resztka roztropności kazała mu podtrzymywać tę rozmowę. Robił to jednak bez przekonania, czego rodak zdawał się nie spostrzegać.

— A dawno pan był w Warszawie? — zagadnął znowu — ho, ho słyszę tam zmiany ogromne! —

Po chwili zniżył głos

— Ale Moskali, panie, jak nie lubili, tak nic lubią, co?

Wojciechowski uśmiechnął się

— Pewnie — że...

— A cóż młodzież, panie, hę? Do czasu dzban wodę nosi, co?... Ja tam wiem coś o tem, Panie — słyszę w Paryżu teraz dużo młodych się zebrało, co?

Wojciechowski znowu uczuł niepokój »Czego on chce odemnie?« — pomyślał

— Przyznam się panu, że to jeszcze niczego nie dowodzi — odparł.

Rodak nieco przystanął.

— Zapewne, panie ani słowa; trzeba wszystko najwpierw rozważyć co i jak... To się samo przez się rozumie. Ale proszę pana po cóż lepszego

---

— Senna jesteś? — rzekł doktór i ścisnął zlekka jej rękę w dłoniach.

Otworzyła oczy; patrzała na niego z uśmiechem.

— Dziś... cały dzień byłam na dworze... na słońcu...

Przypomniała sobie ścianę z mgły czarnej; dreszcz ją przebiegł, podrzuciła ramionami.

Doktór gładził jej rękę, wpatrzony uważnie w bladą twarzyczkę.

— A cóż, dziewiąta dochodzi... dawniej o tej godzinie już spałaś!...

— A kolacja?

Zaśmiał się; skrupuł ten i dawniej nieraz występował na scenę, gdy ją chciano wcześnie do snu ułożyć.

Pola ściągnęła brwi.

Dotąd w rozmowie z doktorem zachowała się banalnie, po dziecinnemu... głupio! Odpowiadała krótko, jak gdyby ją nie stać było na najzwyczajniejszą rozmowę...

Ilekroć chciała go się o coś spytać, myśli się plątały, uśmiechała się bezmyślnie. I on ją traktował, jak głupiego podlotka! Odrazu zaczął do niej tak przemawiać i mimowoli zastosowała się do jego tonu, chociaż to nie leżało wcale w jej usposobieniu.

Dziś już... niech tam! Jest tak znużoną, senną, że woli słuchać, niż mówić... Jutro poznają się lepiej!

Zasiedli do kolacji. Doktór naprzeciwko Strusia, Pola na honorowem miejscu gospodyni, naprzeciwko niej — niezajęte miejsce starej ciotki, chorej na migrenę.

Lampa zawieszona u sufitu, świece w kandelabrach — oświecały srebrną zastawę, kryształowe karawki, kieliszki i szklanki; tęczowe odbłyski w kryształach zlewały się z blaskiem srebra, ze śnieżną białością serwet i obrusa.

Pola z głową wspartą na dłoni, wpatrywała się w błyszczące promienie, które otaczały pyszny kosz srebrny pośrodku stołu; promienie nikły, chwilami zlewały się w tęczową aureolę, to znów dzieliły się na cienkie, ostre smugi świetlne, niknące stopniowo po nad świecami....

(D. c. n.). *Osłoja*

dowodu, kiedy już sami Moskale wytrzymać nie mogą — sami się do niego biorą!...

Im bardziej rodak zapalał się i nacierał na Wojciechowskiego, tem bardziej ten stygł i zamyślał się. Po chwili rodak zaczął go wypytywać o ostatni zamach na cara. Wojciechowski. chociaż znał szczegóły z gazet, odpowiedział, że nie słyszał o tem. Wówczas rodak sam począł opowiadać romantyczną opowieść o piekielnych machinach, o 12 sprzysiężonych, z których »trzech, słyszę, już padło, ale ci, co zostali, swego dopną!«

Pociąg zwalniał biegu, Wojciechowski znowu wysunął się przez okno. Twarz miał rozpaloną jakiemś uczuciem, którego nawet nazwać nie umiał. Był że to strach? Niedorzeczna myśl plątała się w jego zbiedzonym mózgu, ale jej dotąd nie śmiał przed sobą wypowiedzieć. »Może to lepiej przenieść się do innego wagonu?« — pomyślał

— Jaka to stacja? — zapytał głośno.

— Belfort, panie drogi, Belfort — odpowiedział rodak — ściągając walizkę. No, choć mi ta dobrze było z panem gawędzić, ale trzeba do domu — Ja tu, panie, mieszkam — lat trzydzieści blizko!...

Pociąg szedł już między szeregami wagonów, wymijając liczne zwrotnice. Zdaleka zalatywał zgiełk dużego dworca.

— Trzydzieści lat!... Tak, tak — powtarzał rodak - trzydzieści lat — Dużo by o tem opowiadać... No, może się, da Bóg, jeszcze kiedy spotkamy!

Wojciechowski milczał, czując, że jest jakieś nieporozumienie w nim, którego zaczynał się wstydzić. Rodak tymczasem szukał czegoś w walizce.

— Oto jest — rzekł dobywając jakąś kartę — może się to panu zda na co, jako nieobeznanemu z krajem.

I znowu ujął Wojciechowskiego mocno za rękę i potrząsnął nią zamaszyście. Wojciechowski spojrzał na kartę. Stał na niej napis:

Andrée Mieszkowski

Rue de la Banque, 3

Belfort

Facteur de Pianos, harmoniums et orglus d'Eglise

Tymczasem rodak, raz jeszcze uścisnąwszy Wojciechowskiego, skoczył na peron i znikł w tłumie żołnierzy i pasażerów. Wojciechowski długą chwilę stał w otwartych drzwiach wagonu, chcąc coś powiedzieć....

Jerzy Grot.

Ludność słowiańska w Królestwie włoskiem.

(Dokończenie).

Nie łatwo jest mówić o stopniu oświaty u Słowian fryulskich, ponieważ statystyka analfabetów obejmuje, z wyjątkiem okręgu S. Pietro al Natisone, także ludność nie słowiańską. W okręgu tym, który wyłącznie zamieszkują Słowianie, jest $79^1/_2\%$ nie umiejących czytać i pisać. Według obliczenia ludności z r. 1881 było w całej prowincji Udyńskiej 62,45% analfabetów.

Nowa generacja natomiast zapowiada się lepiej, ponieważ ustawa o przymusie szkolnym bywa przestrzeganą dość ściśle, a prawie wszystkie gminy posiadają przynajmniej szkoły niższe — scuole inferiori, — w których nauka trwa 2—3 lat Słowianie bardzo mało korzystają w szkole z języka włoskiego, natomiast uczą go się dość dobrze po za szkołą, w handlu, w wojsku etc.

Przechodząc do stosunków politycznych, powiada prof. Musoni, że w dziennikach piszą dużo o wrzekomem niebezpieczeństwie, grożącem ze strony spokojnych mieszkańców Fryulu jednolitości Włoch. Mniemanie to podyktowane jest atoli ślepą nienawiścią do Słowian. Dla pismaków włoskich najmniejszy jakiś znak życia Słowian jest dowodem wrogich przeciw państwu knowań; niewinne uroczystości miejscowe — powiada prof. Musoni — rozdmuchują gazety włoskie do rozmiarów demonstracji politycznych nieznajomość języka włoskiego przedstawiają jako nienawiść do niego, kościelne lub symboliczne chorągiewki, powiewające tu i ówdzie z wieżyczki kościoła w jakiejś słowiańskiej wioszczynie, piętnują jako godła ducha anti-włoskiego. Przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy podnoszą się tu i ówdzie głosy śród rozumniejszych Włochów, atoli bez skutku, bo dotychczas skłonni są ziomkowie naszego autora dopatrywać się śród słowiańskiej ludności Fryulu więcej złego, niż dobrego.

Być może przyczynia się do tego fakt, że od pewnego czasu Słowianie okazują nieco więcej zainteresowania się językiem rodzinnym, że przez granicę dostaje się nie mało gazet i książek, w słowiańskim pisanych języku. Dr. Musoni wyjaśnia to w sposób nader prosty. Słowianie z natury bardzo są ciekawi i żądni wiedzy i chętnie czytają. Że atoli w szkołach ludowych, jak wszędzie, gdzie panuje system wynoradawiający, nauka języka włoskiego nie odnosi pożądanych przez Włochów skutków, dla tego też pisma i książki włoskie nie mają do ludności słowiańskiej dostępu — znajomość piśmienniczego języka włoskiego dochodzi tutaj do mini-

mum. Inaczej ma się rzecz z językiem słowiańskim. Język literacki nie wiele się różni od mowy potocznej. Słowiańska więc ludność Fryulu uczy się go bardzo łatwo, tem łatwiej, że kochający lud, a ruchliwi księża zamienili zdaniem naszego autora kazalnicę na katedrę języka ojczystego. Nie można się zatem dziwić, że jedno jedyne towarzystwo, »Družba svetigo Mohora« w Celowcu wprowadza do Fryulu rocznie około 1200 broszur słowiańskich. Towarzystwem tem, utworzonem r. 1860 za zezwoleniem papieża Piusa IX., prasa zajmowała się niejednokrotnie, obawiając się, że publikacje jego rozkrzewiać będą ideje słowiańskie lub nawet panslawistyczne. Według statutu cele tego Towarzystwa są natury czysto religijnej. W rzeczywistości jednak broszury »Družby« traktują o sprawach rolniczych, historycznych i ekonomicznych, a w ostatnich czasach, jak twierdzi Musoni, nie obywa się bez dotykania spraw politycznych. W każdym niemal wierszu publikacji ostatnich — powiada nasz autor — znajdujemy echa słowiańskich ideji narodowych. Atoli książki te nie były umyślnie pisane dla celów politycznych, nie zwracano ich też do Słowian prowincji weneckiej, ale do ludów słowiańskich wogóle. Z drugiej strony jednak Słowianie Fryulu wcale nie myślą o kupowaniu tych książek dla zawartych w nich idei politycznych. Nie ma także w Fryulu stowarzyszenia, któreby postawiło sobie za cel rozkrzewianie narodowych ideji słowiańskich.

Niejakie znaczenie mógłby posiadać fakt, że w dziennikach lublańskich i goryckich umieszczano rozmaitemi czasami artykuły, zajmujące się smutnem »wrzekomo« położeniem politycznem Słowian włoskich, którzy, odcięci od swych braci, zmuszeni są uczyć się obcego języka, i to, że rozrzucono pomiędzy nimi kilka poezji o tentendencjach panslawistycznych. Poezje te mogły powstać w samym Fryulu, ale, powiada prof. Musoni, niezadowoleni, którym istniejący porządek rzeczy się nie podoba, są wszędzie, nie byłoby jednak słusznem za ekspektoracje poszczególnych jednostek zwalać odpowiedzialność na ogół ludności. Tak samo nieusprawiedliwioną byłoby rzeczą chcieć winić Słowian fryulskich, że ich pobratymcy w Austrji przedstawiają ich jako nieodłączną część »narodu słowiańskiego«, i że w Fryulu przebywało kilku uczonych słowiańskich, wrzekomo dla nawiązania stosunków politycznych i rozniecenia »świętego ognia słowianofilstwa«, w rzeczywistości jednak dla zajmowania się studjami historycznemi, geograficznemi lub etnograficznemi.

O rozległej propagandzie politycznej, prowadzonej za pomocą pism lub ajentów, nie mógł się dr. Musoni przekonać; wszelkie lamentacje pism włoskich na ten tęmat uważa on co najmniej za przesadne. Stwierdza on, że śród słowiańskiej ludności Fryulu wciąż istnieje przywiązanie do Włoch, widać to po zupełnym braku słowiańskich stronnictw politycznych, które mogłyby zaznaczyć swój wpływ, dajmy na to, przy sposobności wyborów administracyjnych lub parlamentarnych, widać to i po tem, że nigdy nie usiłowano zakładać szkół słowiańskich lub zaprowadzać w szkołach języka słowiańskiego, jako obowiązkowego. Ktokolwiek zawita do okolic słowiańskich, słyszy o ojczyźnie włoskiej same tylko dobre rzeczy.

Zresztą o spokojnem, lojalnem usposobieniu ludności tej świadczy chociażby 25 letni jubileusz oswobodzenia Rzymu, na którą to uroczystość Słowianie włoscy licznych wysłali reprezentantów, i wiele innych tego rodzaju faktów.

Wobec tego zupełnie są nieuzasadnione szowinistyczne napaści prasy włoskiej.

Przegląd pism.

Głos, tygodnik literacko-społeczno-polityczny, Warszawa 1896. Nr. 13—24.

II. *)

Autor podpisany J. L. omawia »wędrówki zarobkowo włościan» (nr. 13) a dalej zestawia »ważne cyfry», odnosząco się do żywiołu słowiańskiego w prowincjach wschodnich Prus, cyfry, które uwydatniają energję odporną przedniej straży słowiańskiej (nr. 14). J. Lorentowicz w szeregu artykułów pt. »Spór o prawo ewolucji» ocenia Salisbury'ego »Inaugural Addres tothe Britisch Association», w którem angielski mąż stanu na wzór »zakrystjana» literackiego we Francji Brunetière'a i ks. Dębickiego stara się osłabić wartość nauki spółczesnej.

L. B. w artykule o »Pionierach idealizmu» przedstawia typ idealisty spółczesnej doby, koło którego już obecnie, jakby oazy, grupują się większe lub mniejsze zastępy ludzi. W beletrystyce typem takim jest »dr. Piotr» Żeromskiego, a D. S. poświęca kilka słów kaucjom chwytanym »w sieci« wyzyskiwaczy, szukających zarobku (nr. 24). — B. K. Świda, zastanawia się nad przyczynami niedoli aptekarskiej, a w listach ze wsi nad kredytem włościańskim, S. Karpiński zaś poddaje krytyce kwestję waluty złotej. — Z kolei są dwa ważne artykuły, ciągnące się przez kilka numerów do pewnego stopnia pokrewnej treści, Darskiego »Emancypacja i macierzyństwo» i S. Karpowicza „Czem jost wychowanie ze stanowiska wiedzy współczesnej?» W odpowiedzi na to pytanie snuje autor uwagi, w myśl których wedle wyników specjalnych badań w wychowaniu, baczyć przedewszystkiem trzeba na równomierność umiejętnego kształco-

*) Ob. »Tydzień» nr. 12 z marca.

nia ciała i ducha, w którem znajdują zastosowanie zdobycze wszystkich umiejętności, oraz trzeba kłaść nacisk na praktyczne wykształcenie młodzieży. Darski stara się o wykazanie, że emancypacja i macierzyństwo to pojęcia niesprzeczne, że żadne prawa i obowiązki nie uwolnią kobiety od społecznych obowiązków matki i że kwestja kobieca to nie uwolnienie się od obowiązków, ale prawo do świadomego ich wypełniania.—Najnowsze zdobycze w dziedzinie psychologji podaje Wł. M. Kozłowski, zajmuje się mianowicie psychofizycznemi badaniami nad zmysłem wzroku, przyczem czerpie z bogatej literatury tego przedmiotu, niemieckiej i angielskiej.

W dziale sprawozdań krytycznych z beletrystyki i poezji Jerzy Grot, który zapowiedział uwydatnienie w poezji spółczesnej wszystkiego, co »żywotne, samoistne, dzielne», poświęca dwa artykuły Janowi Kasprowiczowi. Krytyk z naciskiem mówi o języku poety, w »którym jest coś odrębnego, całkiem własnego», »jakiś ton potężnie swojski, jakiś nastrój bardzo usprawiedliwiony». Co do fizjognomji duchowej poety mówi Grot, że »Kasprowicz pisze jak wyznawca, mieszając ciągle bieg życia z biegiem natchnienia, jak każdy, kto wierzy szczerze», poeta to z bożej łaski, który »rok rocznie oborywa swój zagon literacki», nie »oddaje» się poezji, jak dyletant, ale **j e s t** poetą. Trudno mi streszczać wszystkie sądy Grota, ale zdaje mi się, że nikt dotąd tak głęboko nie pojął i nie odczuł piękna i wartości poezji Kasprowicza, poczynając od początkowych drobnych wierszy, aż do ostatniej »Miłości». — W. Jabłonowski z pewnym rodzajem usprawiedliwionego pietyzmu mówi o „Melancholikach“ Orzeszkowej i z wielkiem uznaniem odzywa się o najnowszych powieściach ludowych Sewera („Biedronie“, „Nowele“, „Przybłędy“), natomiast surowo sądzi powieści Rodziewiczówny, której utwory w stosunku do „Dewajtis'a“ są objawem „przedziwnej partenogienezy“ z tym dodatkiem, że im późniejsze tem „bledsze“ i „mniej zabawne“.—Poezję reprezentują w **G ł o s i e**: J. Leman, który umieszcza bajkę: „Gęś i lis“, Andrzej Niemojewski poematem pt. „Liryk i Muza“, pisanym białym wierszem herderowskim o czterech trochejach, Wacław Wolski wierszem pt. „Pożar“ — Lange drukuje przekład „Wazonu“ H. Regnera, a Adam M-ski sonety z cyklu „Echa“. — W kronice literackiej sprawozdania Karłowicza z Wojciechowskiego „Piasta i piasta“, Tołwińskiego przewodnika dla wychowawców pt. „Nauka w domu“ Szycówny i inne — Galicji poświęcony jest doskonały artykuł wstępny pt. „Bankructwo polityczne“; jest tu mowa o bankructwie zasady solidarności Koła galicyjskiego w dotychczasowej formie i o likwidacji stronnictwa lewicy, a dalej dwa artykuły o emigracji ludu, gdzie poddano krytyce odnośne sprawozdanie Wydziału krajowego. — W jednym z fejletonów tygodniowych ostro i słusznie potępia Weznaki „reporterską powieść“ Werytusa pt. „Wierzę w Boga“, którą drukował **W ę d r o w i e c**, skarbiący sobie od niedawna popularność na gruncie lwowskim. Bohaterem jej, pisze Weznaki, jest „główny twórca pozytywizmu warszawskiego“, osobistość znana całej Warszawie i krajowi, a autor powieści „odgrzebał z historji jego kilka szczegółów bolesnych“, a również powszechnie znanych, uzupełnił je zaś wymyślonemi zbrodniami. Weznaki nazywa to bezzasadnem oszczerstwem. Czy nie za delikatne to w tym wypadku wyrażenie?

Dalej idą korespondencje i zwyczajne działy.

J. A. Sierpniak.

Rozbiory i sprawozdania.

P i e ś n i i s z k i c e Gustawa Kubik-Horodyńskiego, Lwów, nakładem A. Kulczyckiego.

Autor ani się nie sili na orle loty, ani w zaciekaniach filozoficznych nie szuka dla pieśni swoich szerokiej podstawy, ani wreszcie formą ich nie należy do nowatorów poetycznych, którzy brzmienie końcówek i rytm ze słowem, a słowo z myślą usiłują stopić w jedną harmonię. Jednak trudno odmówić pewnego wdzięku takiej np. zwrotce, która ponadto dość trafnie oddaje główny nastrój tomiku:

Daremnie śnić, gdy życia nić
Nie w naszą dana moc.
Lecz dobro siać, o bliźnich dbać,
Rozświecać ducha noc:
Na myśli miej — i miłość siej
A znajdziesz życia cel.

Prozaiczne „Szkice“ cechują bardzo dobre chęci. Najlepszym z nich jest „Ofiara“. *J. Zg.*

Wiadomości bibljograficzne.

Alkar. Klejnoty koronne polskie (Odbitka z Przewodnika nauk. i liter.). Lwów, druk. Wł. Łozińskiego 1896, w 8ce, str. 20.

Bełza Wład. Katalog bibljoteki Mickiewiczowskiej, zebranej w ciągu lat piętnastu. Lwów, nakł. Wł. Bełzy, druk. im. Ossolińskich, 1896, w 8ce, str. 27 i str. 28—32 na Dopełnienia.

Kowerska Zofja. Na służbie. powieść, tom I i II. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk. S. Orgelbranda synów, 1896, w 8ce małej, str. 292 i 257, 2 ruble.

Lilyński Michał. Sycylja, szkice z podróży. Lwów, druk. W. Manieckiego, 1896, w 8ce małej, str. 1 nl. i 144. 1 złr.

Preissowa Gabrjela. Błędny ognik, z obrazków słowackich, przekład z czeskiego Aleksandry z Bajerów Parczewskiej (Odbitka z Dziennika pozn.). Poznań, 1895. w 16ce.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.